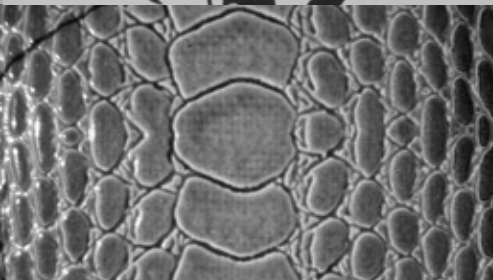
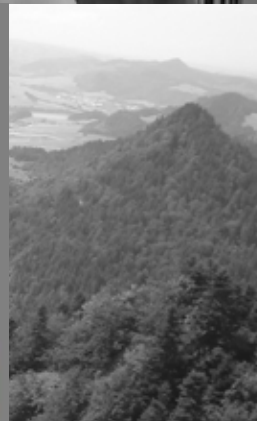
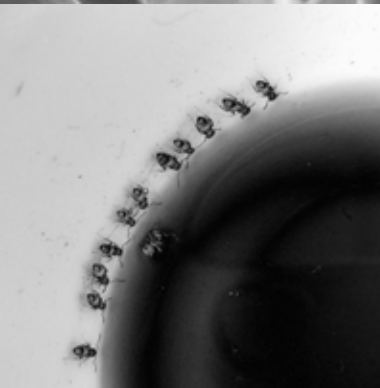


gazeta winda

Nr 7/2011



SŁOWO MIESIĄCA: ŻYCIE

GAZETOWNIA

WYDAWCA

PIstacja Media Katarzyna Bogucka
biuro@pistacjatv.com
WWW.pistacjatv.com

REDAKTOR NACZELNA

Agata Grabowska
gazetownia@pistacjatv.com

SEKRETARZ REDAKCJI

Sylwia Czarnacka
sylwia.czarnacka@pistacjatv.com

FOTO

Sylwia Czarnacka
Katarzyna Bogucka
Agata Grabowska
Rafał Dąbrowski
Artur Radźko

ILUSTRACJE

(PIngwin)
Aleksander Bogucki

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD

Agnieszka Maślanka

Wydawnictwo zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w piśmie Gazetownia bez zgody Wydawcy jest zabronione na podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b prawa autorskiego.

Copyright© PIstacja Media 2011

Spis treści:

NOWY POCZĄTEK

Życie – tajemnica początku

004

W SKRZYNCIE

List od Moniki

007

DROGOWSKAZY

Wypalenie zawodowe – coś więcej
niż kryzys?

008

NA PAPIERZE

List

014

ZAWODY ŚWIATA

Dyrektor cyrku

016

BAJKA DLA DOROSŁYCH

Sens końca świata

022

PODRÓŻE SENTYMENTALNE

Niebieski szlak

028

WYDARZENIE

Dni seniora

032

OT ŻYCIE

034

WIEDZMA

Powieść w odcinkach cz I.

038

OSHO

044

SZORT MAT

Początek

046

BAJKI NOWE

Pi.

048



Życie – Tajemnica Początku

Aneta Begin

Nie zajmiemy się tutaj początkiem życia ludzkiego, będącego konsekwencją aktu o charakterze intymnym, z pewnością frapującego i godnego oddzielnego omówienia. Spróbujemy za to – pobieżnie rzecz jasna – przyjrzeć się teoriom powstania życia w ogóle, a na Ziemi w szczególności. Bo nie ma chyba zjawiska, które byłoby równie powszechne i zarazem tajemnicze. Już samo nazwanie życia nastrocza spore trudności, ilość definicji jest tu na tyle obfita, że brakłoby miejsca na ich omówienie, ogra-

niczymy się zatem do stwierdzenia, że kluczową dla życia cechą jest ciągła wymiana materii i energii między żywym organizmem a jego otoczeniem oraz zdolność do rozmnażania i dziedziczenia cech. Takie złożone układy fizyczne (tzw. organizmy) zawierają zawsze - przynajmniej w znanych obecnie nauce przypadkach - kwasy nukleinowe i białka. Można zatem powtórzyć za Engelsem, że „życie jest formą istnienia białka” (czy ktoś pamięta piosenkę Skaldów z tym cytatem?) tyle że to bardzo

ogólnikowe i niewiele wyjaśnia. Więcej na temat początków życia znajdziecie Państwo w artykule Jana Niezgody, który rzecz poczyną od samych narodzin Wszechświata. Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że pomimo nieustających starań nie udało się, w warunkach laboratoryjnych, odtworzyć niektórych procesów postulowanych przez biogenetyczne teorie, inne zaś efekty okazują się bardzo nie trwałe. Głównym problemem okazuje się niesłychanie małe prawdopodobieństwo powstania aminokwasów z prostszych związków chemicznych. Krytyczny jest tu moment przejścia od materii nieożywionej do ożywionej. Jeżeli biogeneza była poprzedzona przez abiotyczną ewolucję materii to - poza tym że ładnie brzmi - cóż to, u diabła, znaczy? Jak ten proces przebiegał i dlaczego – mimo zaawansowanej technologii – nie udaje się go przekonująco powtórzyć? Jakimś rozwiązaniem może być hipoteza panspermii zakładająca, że życie na Ziemi jest pochodzenia kosmicznego i dostało się tutaj przez znajdujące się w kosmosie przetrwalniki bakterii, np. za pośrednictwem meteorytu lub planetoidy. Konceptcja ta, krytykowana zresztą a według niektórych obalona, nie wyjaśnia jednak tajemnicy powstania życia a jedynie przenosi problem w inne miejsce. Ta sytuacja jest „wodą na młyn” zwolenników kreacjonizmu, utrzymującym, że bez Boskiej interwencji się tu nie obeszło.

Mamy też do czynienia z inną koncepcją, będącą w istocie pochodną kreacjonizmu ale w formie bardziej złożonej i unowocześnionej, mianowicie z teorią Inteligentnego projektu (ang. intelligent design, ID). Konceptcja ta zakłada, że wyjaśnieniem dla pewnych cech Wszechświata i Życia jest siła sprawcza – „inteligentna przyczyna”, a nie tylko działające samoistnie procesy przyrodnicze. Choć jest to sformułowane w taki sposób, by uniknąć wskazania projektanta, co do jego natury lub tożsamości, to bardzo blisko temu myśleniu do dawnych teorii deistycznych czy też do masońskiego Wielkiego Architekta Wszechświata. Wbrew powszechnemu mniemaniu konceptcja ID nie stoi w jaskrawej opozycji do teorii Darwina, jako że ta ostatnia jest teorią ściśle biologiczną, opisującą mechanizmy zmian, a nie ich przyczynę czy celowość. Poza tym, Darwin nigdy nie utrzymywał, że w pełni poznał i opisał wszystkie procesy sterujące ewolucją. Chociaż twierdzenia kreacjonizmu - w tym teorii Inteligentnego projektu, jako jego modyfikacji - opierają się wyłącznie na wierze i nie są, w żaden sposób, podparte dowodami naukowymi, to nie można też – posługując się przyjętymi w nauce metodami – kategorycznie je zanegować czy też odrzucić. Na koniec jeszcze parę słów o możliwości życia poza Ziemią. Dominują tu dwa całkowicie przeciwstawne stanowiska: wariant optymistyczny

zakłada, że wobec ogromu wszechświata, należy statystycznie założyć możliwość, czy wręcz konieczność istnienia życia poza Ziemią. Pogląd drugi głosi, że statystyka nie ma w tym przypadku zastosowania i występująca na Ziemi kombinacja sprzyjających czynników jest absolutnie wyjątkowa i niepowtarzalna. Optymiści zauważają w tym miejscu, że zbytnio przywiązujemy się do wizji znanych nam postaci życia a być może przybiera ono zupełnie nam nie znane (np. pozabiałkowe) formy. Pochodną tego zagadnienia jest pytanie o możliwość istnienia cywilizacji pozaziemskich. Bo też pozostaje kwestią otwartą, czy życie – jeżeli istnieje poza Ziemią – może (musi?) przybierać formy wyższe, obdarzone samoświadomością i zdolne do myślenia abstrakcyjnego? Są tacy, którzy utrzymują, że jest to proces konieczny, wyprowadzając taki wniosek z założenia ogólnej reguły ewolucji wszechświata: ... "z wysokiej energii do bogatej informacji". Dlaczego zatem nie możemy się z Innymi skomunikować? Najczęściej spotykanym wyjaśnieniem jest wskazanie na odległości. Ludzka cywilizacja techniczna istnieje niewiele ponad sto lat, być może nasze sygnały dotrą do istot zdolnych je odebrać za kilkadziesiąt a może kilka tysięcy lat, a wtedy - możliwe, że nasza cywilizacja nie będzie już istniała. Ta zależność działa też w drugą stronę, być może odbierzmy kiedyś sygnały od cywili-

zacji już nieistniejącej. Możemy się zatem doskonale rozminąć. Nie można też wykluczyć, że Inni nie nawiązują z nami kontaktu bo nie chcą, bo nap. uważają że nie warto... Taką tezę postawił kiedyś Albert Einstein, wybitny fizyk i znany „jajcarz” - mówiąc: „Jedynym dowodem na to, że istnieje jakaś pozaziemska inteligencja, jest to, że się z nami nie kontaktują.” Jak widać, brakuje w tym tekście – poza innymi słabiznami rzecz jasna – zadawalających odpowiedzi na postawione pytania. Bo też – wbrew kategorycznemu tonowi podręczników szkolnych – w kwestiach zasadniczych, nauka współczesna stawia więcej pytań i hipotez niż daje odpowiedzi. Jednego możemy być pewni: za kilkadziesiąt lat, a zwłaszcza za kilkadziesiąt, nasze dzisiejsze wyobrażenia o naturze Rzeczywistości i prawach nią kierujących – wydadzą się ubogie, w wielu miejscach błędne a w innych – zwyczajnie zabawne. W języku polskim termin „życie” ma co najmniej dwa znaczenia: w sensie czysto biologicznym oraz użyte w rozumieniu bytu, egzystencji jednostki czy społeczności. Jednak wyczerpująca i ostateczna odpowiedź na pytanie: „jak żyć?” – przy innej okazji.

Z pozdrowieniami
Aneta Begin

Życie

Monika Bładowska lat 12

Nad brzegiem rzeki leżała gruba skała.
Twarda, mokra, pokryta mchem cała.

Zastanawiała się jak to jest żyć,
Kłamać, zdradzać, różne rzeczy kryć.

Czuć, ani przeżywać nie umiała.
Bo przecież to była zwykła skała.

Nawet rzeka przed nią kryła,
jaka jest, jaka była.

Patrzyła na nią z ciekawością,
Trochę z pogardą, trochę ze złością.

Lecz pewnego dnia skała się dowiedziała,
Co rzeka wciąż przed nią chowała.

Wpadła do wody, przyjrzała się skrycie.

A co tam było?

Tam było życie !



Twoją myśl prześlemy innym...



Drogowskazy

Carol Wolff



Wypalenie zawodowe – coś więcej niż kryzys?

Rozmowa z Hanną Wieloch, terapeutką, doradcą zawodowym, trenerką rozwoju osobistego z ponad dwudziestoletnim stażem, o tym, z czego bierze się wypalenie zawodowe i jak sobie z nim poradzić.

Kiedy w naukach o zarządzaniu zasobami ludzkimi pojawiło się pojęcie „wypalenia zawodowego” ?

W literaturze psychologicznej wypalenie pojawia się w 1974 roku, w artykule Journal of Social Issue autorstwa amerykańskiego psychiatry Herberta J. Freudenbergera, który określił wypalenie jako stan wyczerpania jednostki, spowodowany nadmiernymi zadaniami stawianymi jej przez fizyczne lub społeczne środowisko pracy.

I to jest wypalenie zawodowe?

Jest dużo definicji. Zarówno tych potocznych jak i bardziej naukowych. Wielu autorów traktuje wypalenie zawodowe, jako następstwo przeciążenia pracą zawodową. Ważny jest tu czynnik długotrwałości w odróżnieniu od chwilowego stresu, zmęczenia, czy też zwykłego znużenia pracą.

Dla mnie wypalenie to sytuacja, kiedy przez dłuższy czas oczekiwania i wymagania w pracy przewyższają zasoby, którymi dysponujemy. Jeśli taka sytuacja się przedłuża, pociąga za sobą cały szereg negatywnych konsekwencji.

Jakie są symptomy takiego wypalenia?

Różnorodne. Przejawia się zniechęceniem do pracy, coraz mniejszym zainteresowaniem sprawami zawodowymi, obniżoną aktywnością, pesymizmem. Fizyczne - bo ciało się nie wyrabia: ciągłe zmęczenie, zaburzenia snu, zaburzenia gastryczne, bóle głowy, ale też i psychiczne, poznawcze takie jak lęk, stałe napięcie psychofizyczne, drażliwość, rozdrażnienie, brak koncentracji, kłopoty z krótkotrwałą pamięcią. Jednym słowem jest to jest sytuacja ogólnego rozregulowania.

Te wygórowane oczekiwania nakładamy sobie sami czy nasi przełożeni?

Myślę, że jedno i drugie. Rozmawialiśmy już wcześniej o ludziach, którzy swoje poczucie wartości budują na odnoszeniu ciągłych sukcesów zawodowych. Ci ludzie nie zatrzymają się przed kolejnym wyzwaniem. Mimo, że będą widzieli, że i tak im nie wychodzi. W Szwecji przebadano dwie grupy studentów: jedni mieli poczucie wartości osadzone na własnych zasobach, a druga grupa składała się z ludzi bardzo niepewnych siebie. Sprawdzano ich reakcje na różnych etapach realizowania tego samego celu. Ci, którzy mieli wysokie poczucie własnej wartości, nie napinali się, potrafili uelastyczyć i dostosować cel do swoich możliwości. Druga grupa w ogóle nie brała takiej możliwości pod uwagę. Wręcz odwrotnie: im trudniejsze było zadanie, tym bardziej się napinali, że muszą to zrobić. I to jest ta grupa, która sama funduje sobie wypalenie zawodowe. Sama myśl, że mogliby z czegoś zrezygnować, jest przez nich nie do zaakceptowania.

A czy są miejsca pracy, które bardziej niż inne mogą spowodować wystąpienie wypalenia zawodowego? Albo grupy zawodowe?

Tak. Niektórzy uważają wręcz, iż wypalenie nie dotyczy każdej grupy zawodowej, a termin ten stosowany jest do opisu objawów pojawiających się u osób wykonujących zawody, w których występuje bliski kontakt z drugim człowiekiem, np: lekarze, pielęgniarki, psychologowie, psychiatrzy, pracownicy opieki społecznej.

Według mnie o wypaleniu zawodowym możemy mówić niezależnie od charakteru wykonywanej pracy, choć oczywiście wymienione zawody szczególnie do niego predysponują. Wiąże się to z tym, że mało kto pracuje w zamknięciu. Mam na myśli tak samo handlowca, który musi zdobyć klienta, jak i recepcjonistkę, która odbiera telefony. Czytałam ostatnio wypowiedź człowieka dotkniętego syndromem wypalenia zawodowego, który powiedział, że ma taką samą pracę jak jego dziadek i ojciec. Była to niewielka firma produkcyjna. Człowiek ten obliczył, że w ciągu miesiąca musiał się spotkać z tyloma osobami, z iloma jego dziadek spotkał się przez całe życie. I to jest znak naszych czasów – coraz większe wymagania.

Wypalenie zawodowe możemy zdiagnozować u siebie sami, czy powinien to zrobić psycholog?

To zależy od tego czy się w siebie wsłuchujemy. Jeśli tak, to możemy zaobserwować sygnały, które wysyła nam organizm: niepokój w ciele, drażliwość, zaburzenia snu, nadpobudliwość. Jeśli je jednak bagatelizujemy sami stawiamy się w sytuacji, w której może nam pomóc już tylko lekarz.

I zawsze mamy do czynienia z tak ostrą formą wypalenia zawodowego? Czy są też inne łagodniejsze?

Nie zawsze. Wśród osób pracujących z ludźmi, często przejawia się to tym, że przestajemy lubić swoją pracę, czujemy, że już nic nie możemy z siebie dać. Nie lubimy ludzi, nie chce nam się mieć z nimi do czynienia, chcemy tylko siedzieć w kocu i oglądać seriale. I wtedy też trzeba się zastanowić, co takiego się stało, że przestało mi się chcieć.



Spadki entuzjazmu do pracy, co jakiś czas zdarzają się każdemu. Jak odróżnić te niegroźne od wypalenia zawodowego?

Trzeba sobie zadać pytanie, czym jest ten kryzys. Czy ja nadal chcę wykonywać swoją pracę, tylko muszę mieć przerwę? Czy musi nastąpić zmiana w moim działaniu, muszę zrezygnować z bezpośredniej pracy z ludźmi na jakiś czas? Czy może po prostu dana dziedzina już mnie w ogóle nie interesuje i muszę stworzyć swoją ścieżkę kariery na nowo.

I człowiek potrafi sam ze sobą taki temat przepracować?

Myślę, że w dużej mierze tak. Jeśli zadamy sobie kilka mądrych pytań. Lub jeśli ktoś nam je zada – i nie musi to być wysokiej klasy specjalista – to mamy szansę rozpoznać czy to kryzys związany z nowym etapem kariery, czy wypalenie. Zadając sobie pytania, wiele się o sobie dowiadujemy np. że nie umiemy odmawiać, albo stawać za swoimi potrzebami i to są rzeczy, które – jeśli je sobie uświadomimy – możemy zmienić. Natomiast, jeśli czujemy,

że danej pracy po prostu nie chcemy już wykonywać, to nie możemy na to też nic poradzić.

Skoro zdajemy sobie sprawę, że tak jest, dlaczego dochodzi do tylu wypaleń zawodowych?

Bo nie możemy sobie wziąć przerwy. Zwłaszcza ci, którzy codziennie w pracy spotykają się z dużą ilością ludzi. Tylko nauczyciele są uprawnieni do jednego rocznego płatnego urlopu. I to po przepracowaniu wielu lat. Jeśli ktoś pracuje na pierwszej linii, powinien mieć możliwość regeneracji. Zasoby się wyczerpują, ponieważ tej regeneracji nie ma. Nie ma też wsparcia. Wyobraźmy sobie opiekuna osób starszych w państwowej placówce. Pracuje ciężko, mało zarabia, spotyka się z dużymi wymaganiami, nie dostaje znikąd wsparcia i nie stać go na zrobienie sobie przerwy. Takie osoby nie mają własnych grup wsparcia, nie mają szkoleń, nawet wycinkowych, na temat np. rozwiązywania konfliktów w miejscu pracy. A jest to bardzo konfliktogenne środowisko pracy. Powstają napięcia na linii opiekun - rodziny umieszczające swoich bliskich w tych zakładach, opiekun-drugi opiekun, opiekun – jego szef. I tam właśnie nie ma wystarczającego wsparcia, a z drugiej strony społeczeństwo pozbawia opiekunów wszelkiej rangi, deprecjonując ich zawód.

Do czego prowadzi wypalenie zawodowe?

Do braku harmonii w życiu. Wszystko się sypie. Nie ma równowagi pośród elementów: praca, dom, dobry sen i życie poza pracą. Zaczynamy przenosić problemy z pracy do domu. Najczęściej zresztą wypalają się ci, którzy nie mają domu, lub mają dom niesatysfakcjonujący i stawiają wszystko na pracę. Oni nie mają tej prywatności, która wymusiłaby na nich zwolnienie: bo dzieci, bo trzeba iść do kina, trzeba pojechać na wakacje itp.

Czy wypalenie zawodowe może dotknąć też ludzi młodych?

Tak. Jeśli taka osoba stawia wyłącznie na intensywną pracę, nie ma życia towarzyskiego, nie ma hobby i nie uprawia sportów, że prędzej czy później też wyczerpie swoje zasoby.

Kobiety coraz częściej przyznają się do wypalenia zawodowego. A mężczyźni?

Mężczyźni mają mniejszą świadomość tych procesów. Oni rzeczywiście przyznają się dopiero w sytuacji skrajnej np. na kardiologii. Kobiety bardziej badają to, co się z nimi dzieje, stawiają sobie pytania. Mężczyznom o wiele trudniej jest przyznać się do słabości.

Mamy zdiagnozowane wypalenie. Co dalej? Zmieniamy pracę?

Znów pojawia się kwestia zadania sobie pytania: dlaczego to się stało? Czy dlatego, że nie umiemy organizować sobie pracy, ustawiać priorytetów, czy dlatego, że to nie jest praca dla nas, że jest sprzeczna z naszym system wartości? Warto poprosić o pomoc kogoś, kto patrzy z boku na całą sytuację: rodzinę, przyjaciół, czasem doradcę zawodowego.

Czego szukamy?

Równowagi. Równowagi w postaci jakości życia, która uwzględnia satysfakcję z pracy, z życia osobistego, z własnej ekspresji np. w postaci hobby oraz dobrego snu. Mogą pomóc naprawdę małe rzeczy, które robi się tylko dla siebie np. lepienie garnków. Czasy są takie, że nas wpychają w pośpiech i duże wymagania, nastawienie na rezultaty. Dlatego do nas należy zadanie zadbania o swój odpoczynek, bo świat o niego nie zadba i możemy skończyć w miejscu, w którym bardzo trudno będzie nam pomóc.

Pani Hanno, dziękuję bardzo za rozmowę, a czytelników zachęcam do śledzenia naszych kolejnych spotkań poświęconych zagadnieniu pracy na różnych etapach życia. Za miesiąc zmierzymy się ze zjawiskiem mobbingu. Zapraszam serdecznie.



List

Katarzyna Bartsch-Cielebon

Pół roku po.

Nienawidzę cię.

Pół roku i tydzień po.

Moja psycholożka kazała mi pisać dłuższe listy. Niech ma. Nienawidzę cię. Jesteś wredne, głupie i niesprawiedliwe.

Siedem miesięcy po.

Nadal cię nienawidzę. Ciągłe uważam, że jesteś wredne. Dlaczego? Dlaczego, do jasnej cholery, to przytrafiło się mnie? Dlaczego?

Siedem i pół miesiąca po.

Psycholożka się cieszy. Ma punkt zaczepienia. Niby dlaczego to się przytrafiło mnie? Nie ja jedna, nie ostatnia. Wypadki się zdarzają. Różnym ludziom. Los nie wybiera. Tak, wiem. Tylko dlaczego takie to bzdurnie głupie? Zawsze czyjaś lekkomyślność, nieuwaga, terefere... Ale kto do licha mógł przewidzieć, że wybuchnie piecyk? Że niby co? Zdarza się, tak? Nienawidzę cię!!!

Osiem miesięcy po.

Staram się. Naprawdę staram się bar-

dzo. Nie mogę. Nie potrafię. Gdyby nie dzieciaki dawno bym już to skończyła. Wszyscy mówią, że muszę z tego wyjść. Nie mogę. Rzygać mi się chce, kiedy myślę o terapii. Staram się. Podobno takie zachowanie też jest normalne. Pacjenci różnie reagują, ale to normalne. Chyba wszystko jest normalne, tylko dlaczego jest tak trudno ? Cały czas to czuję. Nienawidzę tego zapachu. Nienawidzę. A przecież to była taka zwykła chwila. Najprostsza, najzwyklejsza, codzienna. Jeszcze chwile wcześniej mówił, że musi dokończyć zlecenie. Męczyło go już. Znowu klient miał jakieś ale. Może nie był wtedy w super humorze, coś mu łąziło po głowie, ale wiem, że był. Po prostu był. Ze mną. Z nami. Taka mała chwila. Jak każda inna. Jak wiele. Po prostu poszedł do łazienki i już nie wrócił. I nie wróci. Nienawidzę cię!!!

Rok po.

Znalazłam jego podkoszulkę. Była wciśnięta w szparę za kanapą. Nawet



sobie przypomniałam jak tam trafiła. Wcisnęłam w nią nos i rozryczałam się. Ciągłe był jego zapach. Nie wiem jakim cudem nie wywietrzył. Tak, pani psycholog ponad rok nie zajrzałam za kanapę. Co z tego?

Druga rocznica.

Ten list będzie ostatni a zarazem pierwszy do Ciebie. Miałam wybór, ale nie mogłam pisać do Ciebie. To by było tak, jakbyś ciągle żył. A przecież musiałam zaakceptować to, że nie żyjesz. Napisałam to pierwszy raz. Nauczę się tak mówić. Zaufaj mi. W końcu przebaczyłam sobie. Wiele musiałam sobie przebaczyć. I to, że nie mówiłam Ci, że Cię kocham. I to, że zawsze zabierałam Ci kołdrę. I tę naszą feralną wycieczkę do Olsztyna. Pamiętasz ? Samochód chyba błyskał od gromów, które rzucaliśmy na siebie. Przebaczyłam sobie te nasze wszystkie kłótnie. Często o drobnostki. Tak bardzo mi ich brakuje. Przebaczyłam. I Tobie przebaczyłam. Przebaczyłam Ci to, że zostawiłeś mnie samą. Wiem, że

to nie była Twoja wina. Wiem. Wiem też, że chociaż czas leczy rany, to zostają wstrętne, poszarpane blizny. Nie da rady, aby gładko zarosło. I te blizny potrafią boleć. Czasami bardzo. Bardzo mi Ciebie brakuje. Brakuje mi tego twojego krytyczno-naprawczego podejścia do świata. Brakuje mi Twojego śmiechu i ironii. I tego znaczącego spojrzenia „czy ty naprawdę wiesz, co robisz?”. Ale najbardziej brakuje mi Twoich ramion, w których mogłabym się schować, kiedy jestem już zmęczona podbijaniem świata. Nie wiem, czy kiedyś przestanę Cię odruchowo szukać po przebudzeniu. Ta pusta poduszka jest taka obca. Tęsknię. Bardzo. I wiem, że muszę żyć dalej. Także dla Ciebie. Wiesz, ja naprawdę Cię kochałam i kocham. I zawsze będę, ale już inaczej.

Żona.

P.S. Dobra robota pani psycholog.
Dziękuję.

K.B.C.

CYRK ZALEWSKI

Katarzyna Bogucka

Opracowanie: Agata Grabowska



Od 1993 roku jest Pan Dyrektorem Cyrku. Może rozszyfruje Pan zagadkę, dlaczego jak coś ludzi przerasta, mówią – ale cyrk?

Nie wiem. Szczególnie porównanie z Sejmem mi się nie podoba. Chciałbym, żeby w Sejmie było jak w cyrku. Dyscyplina i odpowiedzialność. Nie każdy nadaje się do cyrkowego życia. To musi być twardy człowiek. Wszechstronny i zaradny. Musi być menadżerem, artystą, logistyką, podróżnikiem, wytrawnym kierowcą, a do tego mieć kondycję maratończyka. Moja żona, syn, ja, wszyscy możemy prowadzić samochody ciężarowe, przeprowadzić podstawowe naprawy. Ja trzeba, to się wyciąga spawarkę, spawa, to co się zepsuło i jedzie dalej.

Jak zaczęła się Pana przygoda z cyrkiem?

Zawsze lubiłem sport i wysiłek fizyczny, ale do szkoły cyrkowej trafiłem chcąc uniknąć wojska. Tam poznałem żonę i rodzinę z wielopokoleniową tradycją cyrkową. I tak cyrk stał się moim życiem.

To moja żona, Ewa, była inicjatorem założenia cyrku. Ona miała cyrk we krwi, wiedziała jak powinien wyglądać i funkcjonować. Powstał, kiedy byliśmy już spełnieni artystycznie. Po osiemnastu latach akrobacji, to co kiedyś nie wymagało zbytniego wysiłku, stało się odczuwalne. To był odpowiedni moment.

Łatwiej być dyrektorem?

To zupełnie co innego. Artysty nie interesują koszty ani poboczne wydatki. Sam sobie układa sezon. Składa oferty bezpośrednio do cyrków lub agentów, jest angażowany do cyrku ze swoim numerem, kostiumami, zwierzętami. Pamiętam, kiedy pracowaliśmy na Wyspach Kanaryjskich, czasem się nudziłem. Miałem jeden program o północy. Cały dzień dla siebie, tenis, basen, zabawa z dziećmi. Wieczorem sto metrów do pracy. Kończyliśmy o pierwszej, pierwszej trzydziści i spać. Jako dyrektor nie mogę sobie na to pozwolić, nie mam urlopu. Nawet jak kończy się sezon, to nie kończy się praca. Już jesienią zastanawiamy się, jak będzie wyglądał program, jaki profil, kogo zechcemy w nowym sezonie zaangażować, żona przegląda materiały reklamowe, dogadujemy się, co do gaży artystów, ustalamy terminy. A to wszystko po to, żeby w przyszłym roku pokazać publiczności nowy program. Ponieważ odwiedzamy te same, prawie wszystkie powiatowe miasta w Polsce każdego roku przedstawiamy coś innego.



Czy ludzie chętnie chodzą do cyrku?

Słyszy się, że jest to sztuka w odwrocie, że upadnie, że drogo i na niskim poziomie. To tak jakby powiedzieć, że koncertów nie będzie bo są płyty. Można oglądać w telewizji balet, a ludzie chodzą do teatru, bo tylko sztuka na żywo budzi prawdziwe emocje. Cyrk jest doznaniem, które można przeżyć w pełni, jedynie siedząc na widowni, pod wielkim cyrkowym namiotem w paski. Nasz cyrk jest z założenia cyrkiem rodzinnym. Bywa tak, że przychodzą ludzie, którzy pamiętają nasz cyrk jako dzieci, a teraz przyprowadzają własne dzieci i wnuki.

Ludzie chcą, żeby było tanio, a wszystko kosztuje, artyści, opał, benzyna, dzierżawa, prąd itd. Ceny biletów nie są wygórowane do tego, co przedstawiamy publiczności. Żeby zrobić jeden numer 2,5 minutowy na wysokim poziomie, trzeba ściągnąć instruktora, rekwizyty kostiumy. Do jednego numeru. Do dwunastu musi być 12 instruktorów, niektórzy jadą z Paryża z basenami, zwierzętami. To naprawdę są wysokie koszty.

Żadnej pomocy? Dotacji, dofinansowania?

W Polsce cyrk nie jest dofinansowywany. W innych krajach tak. Są organizowane festiwale, gdzie promuje się sztukę cyrkową. Dzięki temu promuje się też

miasto, które to organizuje, przyciąga turystów. Miasto współpracuje, pomaga w reklamie, urzędnicy są przychylni. W Paryżu, na przykład, Festiwal Sztuki Cyrkowej otwiera prezydent miasta. Nie mam pojęcia, dlaczego w Polsce jest z tym taki problem. Dlaczego politycy wstydzą się głośno poprzeć cyrk, a po cichu przychodzą z całymi rodzinami. U nas trzy miesiące załatwia się papiery, żeby stanąć na trzy dni. A przecież można tak, jak w Niemczech, przygotować specjalny plac do takich wydarzeń. Dać zaplecze, dobrą komunikację, kawałek parkingu. Wtedy cyrk ma swoje miejsce i nikt nie pożywa o pogniecioną trawę.



Staralem się o dofinansowanie z UE, ale jak się okazuje nigdzie nie pasuje, ani w kulturze ani w innowacjach, chociaż mam innowacyjne podejście. Ni pies ni wydra, ale przecież to jest sztuka. Dostają dotacje teatry, zespoły ludowe, dzieci na ognisko, a cyrk nie dostaje, bo podobno jest komercyjny. Oczywiście chce zarabiać, ale chcę również inwestować. Mówią, że zły poziom? To niech pomogą temu cyrkowi. Sprowadzam najlepszych artystów ze świata, przez mój cyrk przewinęły się największe sławy, ale jak je zareklamować, skoro tak mało ludzi traktuje cyrk, jako coś znaczącego?

Staralem się o dofinansowanie z UE, ale jak się okazuje nigdzie nie pasuje, ani w kulturze ani w innowacjach, chociaż mam innowacyjne podejście. Ni pies ni wydra, ale przecież to jest sztuka. Dostają dotacje teatry, zespoły ludowe, dzieci na ognisko, a cyrk nie dostaje, bo podobno jest komercyjny. Oczywiście chce zarabiać, ale chcę również inwestować. Mówią, że zły poziom? To niech pomogą temu cyrkowi. Sprowadzam najlepszych artystów ze świata, przez mój cyrk przewinęły się największe sławy, ale jak je zareklamować, skoro tak mało ludzi traktuje cyrk, jako coś znaczącego?



Z jednej strony na widowni całe rodziny, a z drugiej Obrońcy Praw Zwierząt skupiający wokół siebie coraz większe grupy przeciwników wykorzystywania dzikich zwierząt w cyrku. Czy cyrk najbliższej przyszłości, to cyrk bez słoni, lwów czy tygrysów?

Oczywiście, że w cyrku powinny być zwierzęta i to wcale nie



jest tak, że większość jest przeciw. Większość, bo aż 70 procent uważa, że zwierzęta to element nieodzowny cyrku i odpowiedzialnie traktowanym nie dzieje się krzywda. Jest grupa aktywistów, którzy bronią praw zwierząt, ale w większości przypadków nie znają się na tym. Chcą raczej zaistnieć. Ja bym bardziej ubolewał nad tymi psami, które są upiększane na wystawy. Mnie chodzi o to żeby pokazać oswojone zwierzę, jego piękno, indywidualność. Bo w cyrku są oswojone zwierzęta. W ZOO nie oswaja się zwierząt, dlatego muszą być stworzone dla nich warunki najbardziej zbliżone do naturalnych. Nie można globalnie powiedzieć, że w cyrku męczą się zwierzęta. Absolutnie nie. Może gdzieś miały miejsce takie przypadki, ale nie należy generalizować. Cyrk bez zwierząt tak samo trudno sobie wyobrazić, jak cyrk bez klauna. Sztuka, show musi albo przestraszać, albo śmieszyć. Bez tego nie ma przeżyć, nie ma emocji.

Jakby miał Pan jakąś alternatywę, co by Pan robił?

Cyrk. Nowoczesny, elegancki cyrk stacjonarny. Spektakle z cateringiem, pod namiotem. Różne formy kabaretowe połączone z elementami cyrkowymi. To ryzykowny sposób na życie, ale jest to moje życie. Tylko czy ludzie przyjdą? Czy politycy rozumieją, że cyrk, to żywa kultura i sztuka? **K.B.**



harmonia  zdrowie  miłość

Gabinet masażu leczniczego i refleksologii
dla dzieci i dorosłych

wyciszenie zdrowie harmonia relaks

+48 791 460 435

Gabinet oferuje między innymi zabiegi w zakresie:

Terapia w schorzeniach oczu
Terapia z zastosowaniem refleksologii dla dzieci nadpobudliwych

Masaże:

masaże lecznicze kręgosłupa, masaż sportowy
masaż odchudzający, masaż relaksujący

Refleksologia:

twarzy, stóp

Kosmetyka:

drenaż limfatyczny, bańka chińska

www.masazedlazdrowia.com

dla zdrowia dla urody dla relaksu





PRACOWNIA I KWIACIARNIA

GAUDÍ

WARSZAWA UL. PRÓŻNA 5





Sens końca świata

Kasia Puchalska

Zbliża się rok 2012. Wyznawcy spiskowych teorii dziejów dali mu przydomek Roku Końca Kalendarza.

W październiku 2011 roku dochodzi do zderzenia wielkiej asteroidy z jednym z księżyców Saturna. W wyniku kolizji od powierzchni satelity odrywa się ogromny lodowo-skalny fragment, który rusza w kierunku Ziemi. Pewność, że kursy Ziemi i kosmicznego odłamkowego się przetną astronomowie uzyskają po kilku tygodniach. Nowy obiekt zostaje ochrzczony mianem Mortis1.

Instytuty badawcze natychmiast rozpoczynają prace nad rozwiązaniami ratującymi życie na naszej planecie. Na próżno. Mortis1 jest zbyt duży by cokolwiek wysłanego z Ziemi mogło go zatrzymać. Naukowcy z zadziwieniem obliczają, że świat, który znamy przestanie istnieć dokładnie w dniu, w którym kończy się kalendarz Majów, to jest 21 grudnia 2012 roku. Ludzkość nie przetrwa. Przeżyją jedynie bakterie, a w najlepszym razie karaluchy. Zdania co do tych ostatnich są jednak podzielone.

Informacja o zagładzie trzymana jest w wielkiej tajemnicy. W tym celu opinię publiczną bombarduje się rozlicznymi wiadomościami, odciągającymi uwagę od katastrofy. Do ostatniej chwili rządy chcą zapobiec panice i anarchii. Wymyślany jest kryzys za kryzysem, bankructwo za bankructwem. Ceny surowców wahają się. Kursy giełdowe skaczą. Rządy manipulują danymi. Wszystko po to, by Mortis1 mógł podróżować bez rozgłosu. Każdy news o końcu świata, który przecieka do mediów jest wyśmiewany i bagatelizowany, a naukowiec, który ośmiela się w tej sprawie wypowiadać, musi się liczyć z ostracyzmem środowiska.

Dzień zagłady zbliża się jednak nieubłagane. We wrześniu 2012 roku nawet amatorzy wyposażeni w chińskie teleskopy widzą lecący obiekt. Rządy idą jednak w zaparte i dementują możliwość kolizji. Umniejsza się skalę zagrożenia, uspokaja ludność, żartuje na temat jakości chińskich teleskopów. Branża handlowa szczególnie naciska na taką politykę,

Ziemiańskie wchodzi bowiem w okres przedświąteczny, a sklepy są pełne towarów. Niepokojące społecznie tłumione są poprzez wyprzedaże, promocje, wysokie rabaty oraz obniżki opłat za posiadanie psa.

Nastaje 10 października. Rankiem najbardziej uczciwy ze wszystkich uczciwych przywódców świata (wiecie o kim mówię?) nie wytrzyma i w trakcie emitowanych w publicznej telewizji obrad Parlamentu szlochając wyznaje prawdę swojemu narodowi. News przedostaje się do innych mediów. Wieczorem tego samego dnia przywódcy z całego świata wystosowują orędzie. Ogłaszają, że koniec się zbliża. Mówią, że jest im przykro. Że nic nie można zrobić. I żeby nie panikować, nie popełniać samobójstw, nie kraść, a w ogóle najlepiej jest chodzić do pracy, płacić podatki, a po zmroku nie opuszczać domów. Można się modlić...

Po wysłuchaniu orędzia każdy Ziemiańszczyznańczyk czuje to samo – mieszaninę strachu, rozpacz i bezsilności. Kiedy pierwszy szok mija przychodzi kolej na refleksję. Wielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ich problemy były błahy. Nikt jednak nie wychodzi na ulicę. Nie wyją syreny. Nie palą się sklepy. Nie protestują protestujący. Czas który nadchodzi po orędziu jest bardzo szczególny. Gdy nastaje noc nikt nie kładzie się spać. Żal na to czasu. Ludzie gromadzą się, rozmawiają, przytulają

jeden drugiego. Niektórzy posuwają się do tego, że snują plany odnośnie wielu wspaniałych rzeczy, które zrobiliby, gdyby nie koniec świata. Ech!

Tak nadchodzi 11 października 2012 roku. Zapisuje się w pamięci ludzkiej z wielu powodów. Głównie ze względu na wspaniałe wydarzenia, które wtedy miały miejsce. O wszystkich opowiedzieć nie dam rady. Wspomnę tutaj o dwóch.

Pierwsze miało miejsce na osiedlu Szczurze Pola (to półoficjalna nazwa), znajdującym się na obrzeżach niewielkiego polskiego miasta. Miało więc zasięg pozornie bardzo lokalny. Drugie zjawisko nastąpiło...no właśnie, jak to ująć? No więc, ono nastąpiło w niebie...ale o tym opowiem później.

Po wysłuchaniu orędzia o zbliżającym się końcu świata na osiedlu Szczurze Pola nastał czas strachu, przynębienia, smutku i żalu. W klatce nr II budynku nr 2 (to ten przy ogródkach działkowych) rankiem 11 października nikt nie poszedł do pracy. Przygotowywano śniadania, wspólnie siadano do stołu. Rozmowom i wspomnieniom nie było końca. Mimo smutku, zapanowała ciepła rodzinna atmosfera. Ludzi połączył wspólny los. Jednakowy dla wszystkich. Bez względu na płeć, pochodzenie, wielkość debetu, czy liczbę posiadanych jednostek uczestnictwa w funduszach inwestycyjnych.

Gdzieś około 10:00 rano z II piętra dały się słyszeć najpierw ciche, a następnie coraz głośniejsze jęki, momentami przechodzące w niemal zwierzęcy skowyt. Hałas dochodził z lokalu nr 11. Młoda kobieta w zaawansowanej ciąży zaczęła rodzić. I choć nie był to moment dobry na rodzenie, ani w ujęciu globalnym, ani w lokalnym, to nie było na to rady. Dziecko pchało się na świat.

Kobieta spod 11 mieszkała tam samotnie. Nie miała wielu znajomych, choć była ładna i miła. W każdym razie nikt o niej nic konkretnego nie wiedział, a już na pewno nie wiadano, czyje to dziecko? Męża, ani żadnego innego faceta przy jej boku jakoś nie zauważono.

Dźwięki zaczęły budzić niepokój. Spora grupka sąsiadów zebrała się pod drzwiami i pukała już od dobrych paru minut. Jednak tuż przed pojawieniem się ludzi przy lokalu na II piętrze hałas dobiegający ze środka ucichł. Młoda kobieta nie otwierała i nie odpowiadała na wołania.

- Albo zemdłała, albo coś jeszcze gorszego – wysunął tezę młody chłopak spod 17 – chyba trzeba wyważyć drzwi? – dodał, ale już mniej pewnie. Zgromadzeni mieszkańcy snadź pomyśleli to samo, bo pokiwali twierdząco głowami.

- Przecież nikt nie będzie miał do nas o to pretensji – zauważyła trzeźwo nauczycielka spod 8 – a nawet jakby miał, to i tak już bez znaczenia.

Tu niewątpliwie miała rację i drzwi postanowiono wyważyć. Tylko jak? Wyglądały na pancerne. Trzy zamki. Każdy gerdopo-

dobny lub lepszy. Dwóch najmłodszych i najsilniejszych w grupie mężczyzn wzięło to na siebie. Chcieli się rozpędzić i z wielką siłą dwóch żywych ciał uderzyć taranem. Może coś puści? Nie puściło. Ponowiono nawoływania i pukanie, jednak bez efektu. Za drzwiami panowała głucha cisza. Parę osób próbowało dzwonić po pomoc. Telefony przestały jednak działać. Pracownicy telefonii także nie poszli tego dnia do pracy.

Ludzie zaczęli się zastanawiać, czy całe to ratowanie ma sens? Bo jeśli stało się to czego się obawiali...to może tak jest lepiej? W końcu nie wiadomo, co może się wydarzyć? Jak będzie wyglądała apokalipsa? Czy ocalenie tych dwóch żyć w chwili, gdy całe życie na Ziemi wkrótce przestanie istnieć, ma jakiekolwiek logiczne uzasadnienie? A nie lepiej spędzić ten czas z rodziną, posiedzieć przy stole, przy kawie? Kogo obchodzi kobieta w ciąży spod 11? Nawet nikt jej nie znał dobrze.

Takie myśli nawiedziły większość osób zgromadzonych na II piętrze. Żadna z nich nie wróciła jednak do swojego mieszkania. Ludzie odkryli w sobie atawistyczną chęć przetrwania i wolę walki. Nie chcieli się poddać. Na przekór okrutnym planom wszechświata, który grał ich losami niczym bilardzista, postanowili ratować te dwa życia. Zrodziło się kilka pomysłów. Pierwszy, by dostać się do mieszkania przez balkon, a konkretnie wspiąć się z I piętra lub opuścić z balkonu powyżej. Drugi, to rozwalić drzwi wszelkim posiadanym sprzętem.

Zabrano się do dzieła. Dwóch osiłków, tych od taranowania, zdecydowało się wejść przez balkon. Reszta zgromadziła się narzędziami.

Nie było to jednak takie proste. Barrierki na balkonach okazały się wąskie, a odległości między kondygnacjami duże, bo mieszkania miały prawie 3 metrową wysokość. Dwie próby wejścia na balkon, w tym zeskoczenie w dół z III piętra i podciągnięcie się z I piętra –zakończyły się fiaskiem (na szczęście przyzma z liści pod balkonami zamortyzowała upadek). Potrzebna była drabinka, albo liny, albo choć porządne prześcieradła. Forsowanie drzwi siekierami i wiertarką też nie dało oczekiwanych rezultatów - drzwi miały stalowe wzmocnienia. Działania się przedłużały. Czas uciekał.

Ludzie nie dawali za wygraną. Pracowali w pocie czoła. Poddawali pomysły i realizowali je nie spierając się, o to który jest lepszy. Chodziło przecież o ludzkie życie. Może ostatnie, które da się jeszcze ocalić.

Wreszcie się udało. Skręcona z prześcieradeł super lina wytrzymała i jeden z mężczyzn dostał się na balkon na II piętrze. Jeszcze minuta i szyba balkonowa została rozbita, a mężczyzna wszedł do mieszkania. Pod drzwiami czekał niecierpliwie tłum ludzi. Wiele osób przyszło z innych budynków. Była tam m.in. położna (ta z IV bloku). Wszyscy gotowi do działania. Drzwi do mieszkania jednak się nie otwierały. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Zapanowała ogólna konsternacja. Co się dzieje?

Wreszcie, po dobrych 15 minutach na balkonie ponownie ukazał się młody mężczyzna i zaczął mozolnie pięć się w górę. Z pewnym trudem dotarł wreszcie na III piętro. Jeszcze dysząc z wysiłku wyszedł do sąsiadów na klatkę. Minę miał niewyraźną. Ludzie zamilkli. Bali się usłyszeć, że nastąpiło najgorsze, że pomoc przybyła za późno.

Młody człowiek mówił z wyraźnym wahaniem w głosie.

- Proszę państwa, nie wiem jak to się stało, nie wiem też jak to jest możliwe, ale w mieszkaniu nr 11 nie ma nikogo. Jest puste. Nie widać też żeby tam ktoś mieszkał. W każdym razie nie ma za dużo rzeczy.

Wypowiedź zaskoczyła ludzi. Szok trwał jednak krótko. Pierwsza odezwała się starsza kobieta spod 6.

- Jeśli to nie ciężarna, to kto hałasował dziś rano?

Potem padły kolejne pytania. Czy w klatce mieszka ktoś inny, kto może potencjalnie potrzebować pomocy? Gdzie jest kobieta, która jeszcze wczoraj mieszkała pod 11? Zastanawiano się, czy hałas nie był złudzeniem? Może ktoś zrobił sobie żart? Może ciężarna mieszka w innym lokalu? A może to cud? Itp. Ostatecznie zgodzono się, że ktoś krzyczał i był to głos osoby cierpiącej. Trzeba tylko ustalić, kto to był? Podejrzenie padło na staruszkę z mieszkania na parterze. Postanowiono to koniecznie sprawdzić. Ludzie rozbiegli się po całym bloku. Zaglądali do piwnic. Węszyli po okolicznych ogródkach działkowych. Przepytywano każdą osobę.

Sprawdzano stan zdrowia zwierząt. Bez rezultatu. Źródła porannego hałasu nie udało się zidentyfikować. Żaden z mieszkańców nie krzyczał rano. Po południu parę osób udało się do pobliskiej prywatnej kliniki stomatologicznej, jak też do odległego publicznego szpitala. Śladu po kobiecie w ciąży jednak nie znaleziono. Nikt jej nie widział.

Czas mijał. Ludzie byli bardzo zmęczeni, ale zupełnie nie zważali na to. Tak bardzo chcieli kogoś ocalić. Albo coś. Chyba na przekór losowi.

Słońce zaczęło zachodzić. Po zapadnięciu zmroku pod klatkę nr III podjechała taksówka. Z samochodu wysiadła młoda

kobieta z kwilącym zawiniątkiem. Wieść o jej powrocie rozeszła się niczym fala dźwiękowa. Ludzie zbiegli się z całego osiedla. Zgromadzili się tłumnie przy 11. Każdy chciał się dowiedzieć, co się stało? Wszyscy chcieli obejrzeć i dotknąć dziecko. Okazało się, że kobieta urodziła w fabryce mebli. Rzeczywiście, rano jęczała trochę w swoim mieszkaniu, ale krótko. Potem poczuła się lepiej, spakowała się i sama wyszła z mieszkania. Pod blokiem czekała taksówka. Taksówkarz, człowiek samotny, z nieznanych sobie powodów tego dnia postanowił na przekór wszystkim pracować. Zupełnie bezwiednie przyjechał na Szczurze Pola. Wraz z ciężarną ruszył do szpitala, ale zdołał jedynie dotrzeć do zabudowań



fabrycznych, znajdujących się paręset metrów za osiedlem. Dziecko było niecierpliwe. W fabryce paliło się światło i tam też postanowili się schronić, zwłaszcza, że nie mieli pewności, czy szpital działa? Poród nie był trudny. Na noc zdecydowali się wrócić do mieszkania.

Co to była za ulga dla mieszkańców Szczurzych Pól. Dziecko okazało się zdrowe, młoda matka w dobrym stanie. Happy end. Kobieta z dzieciątkiem została zaproszona do rodziny z tego samego piętra. Taksówkarz również. Rozbita szyba nie pozwalała na pozostanie w 11 na noc. Ludzie nanieśli im różnych rzeczy: kolorowych kocyków, ciepłych pajacyków. Nawet pampersy. Tym sposobem ulga i radość z pojawienia się, a może nawet ocalenia nowego życia przesłoniły strach przed zbliżającą się śmiercią.

I tak nadszedł wieczór 11 października 2012 roku. Właśnie wtedy nastąpiło drugie wydarzenie, o którym należy opowiedzieć. Zjawisko miało miejsce wysoko nad głowami mieszkańców Szczurzych Pól.

Przypadek bądź niedopatrzenie sprawiły, że astronomowie, skupieni na lecącym wprost na Ziemię Mortis1, nie zauważyli drugiej dużej asteroidy, która pojawiła się w Układzie Słonecznym i zamierzała przelecieć w niewielkiej odległości od naszej planety. Tak się złożyło, że obiekt ten, nazwany później znamiennie Vitae2, znajdował się na kursie przecinającym kurs Mortis1.

O godzinie 21:10 czasu środkowoeuropejskiego, dnia 11 października 2012 roku Mortis1 i Vitae2 zderzyły się ze sobą nie osiągnąwszy celu. A więc nie doleciawszy do Ziemi, a jeszcze dokładniej do Szczurzych Pól, gdzie (co potem doprecyzowano) celował Mortis1. Siła uderzenia była tak duża, że oba ciała rozpadły się na małe kawałeczki. Powstałe po kolizji szczątki spaliły się w atmosferze ziemskiej. Październikowe niebo rozświetlił wielki przedświąteczny fajerwerk. Co ciekawe, większość mieszkańców osiedla nie zauważyła tego zjawiska. Mieli głowy zaprzątnięte ważniejszymi sprawami.

Rankiem 12 października 2012 roku oficjalnie odwołano koniec świata. Siłą rzeczy Majowie całej tej sytuacji nie skomentowali. Zrobią to za nich (niewątpliwie) producenci filmowi.

11 października obwołano Międzynarodowym Świętem Życia. W Polsce praca w tym dniu była zakazana pod karą grzywny lub więzienia, co zwykle dawało powód do wielu zabawnych sytuacji.

Natura ludzka jest przekorna. Bywamy niekiedy wredni i podli, ale w szczególnych okolicznościach, zwłaszcza kiedy walczymy o życie, potrafimy zachowywać się wspaniale. Tylko jak długo ludzie będą pamiętać to, co czuli tuż przed końcem świata?

K.P.

Niebieski szlak

Agata Grabowska

Zaledwie trzysta metrów od centrum Krościenka zaczyna się jedna z najpopularniejszych i najstarszych, a przy okazji też najbardziej oblegana przez turystów, pienińska trasa na Trzy Korony. *Im bardziej się do niej zbliżamy, tym głośniej bije mi serce, tym mocniej zaciskają się myśli wokół fotografii w niebieskiej ramce, schowanej w plecaku, wokół bolesnych wspomnień.. i obietnicy wyszeptanej nad białą trumną cztery lata wcześniej.* Żółte i zielone znaki prowadzą najpierw brukowaną uliczką obok kaplicy św. Rocha i starego dworu, później ulica przechodzi w stromą, kamienistą dróżkę. Jak dla mnie nawet bardzo stromą. Po około dziesięciu minutach docieramy

do krzyża. Gdy czytam na przyczepionej do niego tabliczce – „Zanim pójdziesz dalej, zatrzymaj się i podziękuj Bogu, że masz oczy”, czuję ucisk w gardle. *Zrzucam pod tym krzyżem bagaż moich ułomności, słabości i bólu. To wszystko nic. Jestem tu.. jestem.. jesteśmy mój mały.. żeby razem wejść na ten szczyt.. tak jak planowaliśmy tamtego lata.. To jest ten czas.. ten dzień.. głośno przełykam coś, czego nie daje się przełknąć.. biorę się w garść.. patrz przez moje oczy.. patrz przez moje serce..* Jeszcze trochę wyżej i ukazuje się przepiękny widok na Krościenko i wstęgę Dunajca. Nie sposób nie zatrzymać się w zachwycie. Ludno i gwaro, wszędzie rozbawione grupki



turystów. Wszyscy się nawzajem pozdrawiają, wymieniają uwagi o szlaku, podtrzymują na duchu. Od powracających słychać, że ciężko, ale warto. Po prawej stronie mijamy las, po prawej urokliwą dolinę Gródek. Przy Pienińskim Potoku widzimy kamień podpisany „Wojtek”. Jedni mówią, że zginął tu flisak, który po spłynięciu tratwą wracał do domu przez góry, inni że kamień leży ku pamięci zmarłego gajowego, Idziemy dalej. Coraz bardziej zmęczone nogi rozjeżdżają się na śliskich kamieniach. Strome i męczące podejście zdaje się nie mieć końca. *Jesteś tu.. czuję.. uśmiechasz się słońcem, przekomarzasz wiatrem.. wiem, że jesteś..bez ciebie nie byłoby tu tak pięknie.. bez ciebie bym tu nie doszła.. nie mam tyle siły..* Kiedy nagle otwiera się szeroka przełęcz z ławeczkami nawet nie pytam dlaczego nazywa się „Chwała Bogu”. Mnóstwo tu odpoczywających ludzi, bo tym miejscu krzyżują się dwa najważniejsze pienińskie szlaki. My kierujemy się na niebieski. Po godzinie wyprowadza nas przez las i polanki, na wspaniałą łąkę pokrytą bujną roślinnością i otoczoną starymi lasami. To jed-

na z najpiękniejszych pienińskich polan, zwana po prostu polaną pod Trzema Koronami. Lżej, za to bezpośrednio pod słońcem. Zachwycamy się widokiem na Pasma Radziejowe i Pieniny Czorsztyńskie. To już 779m n.p.m. Ostatni przystanek przed celem. Jeszcze chwila i wychodzimy prosto na kasy. Kupujemy bilety na kilkudziesięciometrową, metalową kładkę i schody prowadzące już prosto na szczyt. Kolejka ludzi, wielojęzyczny gwar, klikanie aparatów fotograficznych. Nawet nie zauważam, że wstrzymuję oddech. Jeszcze kilka schodów. Jest. Mała platforma zawieszona nad kilkusetmetrową przepaścią z zapierającym dech w piersiach widokiem. Imponująca panorama obejmuje Tatry, Gorce, Beskid Sądecki i Pieniny. Niezwykła wyniosłość Okrąglicy ponad otoczenie potęguje wrażenia. *Spójrz, na dole Dunajec wije się jak błękitna wstążeczka.. z tamtej strony wyglądamy jak mrówki.. jest dokładnie tak, jak nam obiecałam.. To nasze spóźnione wakacje synku.. nasz magiczny, niebieski szlak.. Zamykam łzy pod powiekami, czuję na twarzy muśnięcie anioła.. dziękuję Bogu..* **A.G.**







Świętujemy jesienne Dni Seniora

Tymon Lados

SENIOR to naprawdę fajna sprawa. Jesień życia, jak w przyrodzie może być pełna kolorów i pachnąca słońcem. Tak, tak, słońce potrafi wydobyć zapach ze wszystkiego, co obejmą jego promienie, a seniorki na babskich warsztatach piękna wydobywają swoje wewnętrzne i zewnętrzne walory. Odkrywają siebie na nowo -kolorowo. Seniorzy w tym czasie toczą zażarte boje szachowe. Nasi seniorzy uczestniczą w warsztatach kulinarnych, plastycznych, fotograficznych, podróżniczych, literackich. Możliwości, dzięki ich życiowym doświadczeniom i fantazji, są nieograniczone. A wszystko to przeplatane pogaduszkami przy herbatce z ciasteczkiem. Bywa, że pojawia się jesienna miłość.

Nawet kiedy nadciąga mała chmurka, seniorki i seniorzy nie pozwolą by zbyt długo przysłaniała niebo. Elementem obowiązkowym niezależnie od rodzaju zajęć jest dobry humor i pogoda ducha.

Wszystkim, którzy w miastach miasteczkach, wsiach i każdym zakątku świata tworzą takie miejsca w imieniu naszych seniorów – dziękujemy. **T.L.**



Karolina Dyja

Matka ośmiorga dzieci jest niezastąpiona. Od zawsze starała się, żeby rodzina miała się jak najlepiej. Była dowódcą, centrum logistycznym, kucharką, sprzątaczką, krawcową i psychologiem w jednej osobie. Kiedy pojawiły się wnuki, zmieniła się w babcię jak z dobrej bajki – taką, która zawsze ma w zanadrzu dobre słowo, chleb z cukrem i konfiturę domowej roboty, a o przygarbienie gromadki na wakacje nawet nie trzeba jej specjalnie prosić.

Niedawno skończyła siedemdziesiąt lat. Choruje na nadciśnienie, ma za sobą zabieg usunięcia tarczycy. Mieszka z dziećmi, ale każde z nich prowadzi własne gospodarstwo domowe.

Co robi? Wstaje bardzo wcześnie, bierze swoje lekarstwa i zaczyna się krzątać. Uprawia kawałek ziemi – kocha pracę w ogrodzie. Owoce i warzywa niestrudzenie przerabia na przetwory (które potem rzecz jasna rozdaje dzieciom). Nikogo nie prosi o pomoc. Skromniutką emeryturę potrafi podzielić tak, że wystarcza jej pieniędzy na leki, rachunki i podstawowe potrzeby.

Mówią o niej: anioł, nie kobieta. Nie wymaga wiele dla siebie, dając bardzo dużo. Ja też byłam pełna podziwu. Pomyślałam, że dzieci muszą być zadowolone i dumne z takiej matki. Niestety, jakoś tego nie okazują.

- Nie chciałybyś, żeby pomogli ci w domu? Przecież z tobą mieszkają, a ty masz mało siły – zagadnął ktoś kiedyś starszą panią przy herbacie. Ona w odpowiedzi machnęła ręką.
- Nawet nie o to chodzi – westchnęła. – Ja bym chciała, żeby po prostu wpadli i pogadali.

Nawet zwykła rozmowa to dla dzieci problem. Starsza pani już nauczyła się, że czasem lepiej nie wypowiadać swojego zdania, nie zgłaszać pretensji, bo pociechy ukochane bezlitośnie sprowadzą na ziemię. Milczy więc i nie powie nawet, że jej smutno, bo przecież chciałyby, żeby „wszystko było dobrze”.

Co się stanie, kiedy niezastąpiona matka umrze? Zostanie wreszcie doceniona?

W jednym z kobiecych czasopism przeczytałam kiedyś artykuł o „odjeżdżającym pociągu” – naszym nastawieniu do tego, co mamy. Jak to jest?

Mamy to do siebie, że uwielbiamy narzekać. Skarżymy się całemu światu, bo dzieci to bałaganiarze, mąż – idiota, matka się czepia, ojciec denerwuje. W dodatku mamy okropne mieszkanie, a samo-

chód ciągle się psuje, co oczywiście doprowadza nas do szału.

Często chodzi też o co innego. Wychodzimy z założenia, że nam się należy. Jakiś Dobry Tatuś podaruje nam taki urzędowy pakiecik, w którym znajdziemy satysfakcjonujące zarobki, piękne mieszkanie, dobry samochód i wspierającą rodzinę – my nie musimy nic robić. Kiedy cokolwiek nie spełnia naszych oczekiwań, reagujemy oburzeniem. Przecież my *powinniśmy*, wręcz *musimy* mieć to, co sobie zażyczymy!

Wkręceni w spiralę niezadowolenia, nie widzimy najprostszych rzeczy. Nawet nie wpadnie nam do głowy, żeby zachwycić się widokiem z okna w naszym (według nas brzydkim) mieszkaniu, podziękować mamie za przyszycie guzika i pocerowanie skarpetek, powiedzieć, jak bardzo lubimy, kiedy mąż codziennie przynosi nam herbatę.

Ktoś może powiedzieć, że przecież mówienie o rzeczach oczywistych jest bezcelowe. Niekoniecznie. Każdy z nas lubi od czasu do czasu usłyszeć dobre słowo zamiast narzekań. Lubimy się dowiadywać, że jesteśmy w czymś dobrzy, nie-



zastąpieni, lubimy być doceniani. Wtedy jest przyjemniej: wiemy, że ktoś nas kocha i potrzebuje, nawet jeśli daleko nam do ideału i czasem zapominamy o wyrzuceniu śmieci.

Mówi się, że „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”. Ja coraz częściej myślę, że szkoda czasu. Szkoda czasu na narzekanie i roztrząsanie, co by było, gdyby.

Lepiej zastanowić się, czy naprawdę tak bardzo nie lubię tego, co już mam? Może lubię, a narzekam dla zasady, albo przez przekorę?

Czasem zdarza się też tak, że chcemy po prostu za dużo. Właściwie trudno się temu dziwić: na każdym kroku atakuje nas komercja i konsumpcyjny styl życia. Mimowolnie tym nasiąkamy i postępujemy według medialnego wzorca. Dlatego tak ciężko nam zauważyć coś, co jest dobre, a przy tym raczej proste i niepozorne. Odrzucamy to jako nudne, przestarzałe, niemodne.

Wystarczy jednak jakiś losowy wypadek, żeby zmieniło się nasze postrzeganie własnego mikrokosmosu. Wówczas przechrzcimy „stary złom” na „kochane autko”, przypomnimy sobie, że dzieci zawsze umiały nas rozbawić, mąż koł ner-

wy grą na gitarze, czepiająca się matka gotowała najlepsze obiady na świecie, a z ojcem można było porozmawiać o sporcie.

Kiedy zdajemy sobie sprawę, że źle zrobiliśmy, nie doceniając tego czy tamtego, jest już za późno. Wtedy pojawia się frustracja. Spirala po raz kolejny funkcjonuje bez zarzutu: jesteśmy rozczarowani, niezadowoleni i... znowu narzekamy.

A może po prostu trzeba się na moment zatrzymać i docenić to niewdzięczne życie ze wszystkim i wszystkimi? Przecież jest całkiem niezłe! Czasem ma dobry dzień – wtedy jest po prostu świetne! **K.D.**

WJEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon

opowieść w odcinkach

część I



Marianna rozkoszowała się początkiem nowego, letniego dnia. Było radośnie i rześko. Perliła się rosa. Krople, które jeszcze nie opadły na ziemię zwiślały z liści i odbijały słoneczne promienie. Poranna cisza budzącego się lasu. Kobieta wciągnęła powietrze. Wszystko ją cieszyło. Dzień, zapach mokrych drzew i przede wszystkim świadomość, że jej córka jest szczęśliwa. Tak się cieszyła na tą wyprawę do grodu. Taka była radosna, pełna różnych nadziei, które Marianna widziała w jej oczach. Ożywiona. Nawet z domu wybiegła, jeszcze przed świtem, żeby jak najprędzej dotrzeć na miejsce. Była już dużą, mądrą dziewczyną i Marianna puściła ją bez obaw. Cóż takiego złego mogło ją spotkać

w ich lesie. W ich kawałku lasu. No może nie tak do końca był to ich las, ale kobieta przyzwyczaiła się do takiego sposobu myślenia. Właściwie poza nimi to nikt wtedy nie chodził. Chłopi ze wsi mieli swoją drogę na skraju, a komu innemu by się chciało tutaj zapuszczać. A zwierzyna? Było lato, żywności wszędzie bród, nie musiała podchodzić pod ludzkie siedziby, aby coś zjeść. Kobieta ponownie wciągnęła zapach mokrego mchu, kory i całego bogactwa leśnego runa. Radość córki udzieliła się także i jej. Schyliła się po obiecująco wyglądający owoc jagody. Obok całej porcji jagodowych krzewinek dostrzegła też czerwieniejące borówki. Instynkt kazał jej sięgnąć po gałązkę. Piękne, zielone, skórzaste liście. Zerwała ją, obejrzała dokładnie i włożyła do płóciennej torby przewieszanej przez ramię. Borówki były świetnym lekarstwem

na obolałe kości. Zerwała jeszcze parę gałązek. Wystarczy. Nagle poczuła to dziwne mrowienie na końcach palców. Nie lubiła go. Mało powiedziane, nienawidziła go. Zawsze było przestroga. Znakiem, że coś się dzieje. Znakiem, że matka natura ją ostrzega. Była wiedźmą. Z matką naturą kiedyś się polubiły. Nawet bardzo. Zrozumiały. Potrafiły ze sobą rozmawiać bez słów. No, może tylko Marianna tak uważała. Swędzenie palców zawsze jednak oznaczało jedno. Kłopoty. Kobieta wyprostowała się i z całą koncentracją, na jaką mogła się zdobyć obróciła wokoło lustrując dokładnie swoje otoczenie. Co się dzieje? Z uwagą wsłuchiwała się w szумы i świergoty lasu. Nic niepokojącego nie było słychać. Wszędzie wrzała ptasie i owadzia praca, niczym nie zakłócona. Odina. Odina. Odina. Nagle wszystkie jej zmysły zaczęły gorączkowo szeptać, wołać i krzyczeć imię córki. Odina. Odina. Odina. Marianna jeszcze bardziej natężyła uwagę. Zerwała się do biegu, jak ranna sarna. Rozpaczliwie. Jej jedyna córka. Jej kochane dziecko. Jedyny człowiek, który z nią był. Odina. Moja dziewczynka. Biegła droga, która prawdopodobnie musiała pokonać jej dziewczynka. Musiała tędy iść. Kobieta już się nie cieszyła zapachem,

nie podziwiała kropli. Biegła roztrzaskając gałęzie. Byle szybciej. Jak daleko Odina mogła dojść? Gdzie mogła być. Biegając rozglądała się także na boki. Może gdzieś w zaroślach. Oby tylko żyła. Oby tylko nic jej się nie stało. Tak zwierzęta w lecie... ale przecież nie ma co ufać. Dlaczego byłam taka głupia? Wyrzucała sobie. Zaświtała polana, która trzeba było przebyć. Rósł na niej stary, pewnie wiekowy dąb. Sam. Na środku. Tak jakby jego korona zamknęła światło wszystkim innym roślinom, pozwalając mu niepodzielnie królować. Marianna widziała już prześwity światła, znany ciąg powietrza. I tylko jedna zmiana. Na dębie powiewała biała ...sukienka. Leciutko, cichutko, bez znaczenia. Sukienka jej córki. To było pierwsze co zobaczyła. Potem zobaczyła rozpuszczone, długie jasne włosy. Opadające na twarz. I szczupłe stopy drgające pod sukienką. - Nie !!! - zawyła przypadając do tych trzęsących się stóp. Jedna bez sandała. Była jeszcze ciepła - Odina - wyszeptwała kobieta i z całej swojej siły podniosła dziewczynę do góry - Odina - jęknęła. Rozpaczliwie rozejrzała się po otoczeniu jakimś cudem jej córka przecież jeszcze żyła. Żyła. Żyła. Tylko jak nie pozwolić jej umrzeć. Rozglądała się nadal. Pod dębem znajdował

się wielki kamień, który nie raz i nie dwa służył im za siedzenie, gdy tędy przechodziły. To z niego pewnie się odbiły nogi jej córeczki. – dlaczego? – ponownie dźwignęła dziewczynę. Pętla wykonana z rzemiennej paska była jednak nieubłagana. Na nic starania. Nie chciała się poluzować sama. – nie Odina, proszę, nie rób tego! Nie rób tego, nie możesz mi tego zrobić - zapłakała nagle bezradnie kobieta. Dziewczyna była nieprzytomna. Nie reagowała na płacz, ani błagania kobiety. Jej ręce zwisały luźno wzdłuż ciała - Odina, mam tylko ciebie! Nie możesz mi tego zrobić. Proszę!- kobieta czuła jak ciężar ciała jej jedyne dziecko zaczyna ją coraz bardziej przygniatać. - nie puszczę cię, nie pozwolę ci tego zrobić – zasyczała z wysiłkiem. Rozpaczliwie rozglądała się szukając wzrokiem pomocy. Kamień z którego odbiła się dziewczyna był niedaleko. Postanowiła się na niego wspiąć. Noga ześlizgnęła się. Ponowna próba też nieudana. Jeszcze raz. Nic. Nie mogła przecież puścić nóg dziewczyny. Pętla zacisnęła by się do końca. Ratunku! - Ktoś przecież musi być w tym diabelskim lesie. Ratunku!- spłoszyła tylko grupę ptaków, która przysiadła na pobliskim drzewie - Ratunku, na pomoc, Ratunku! – krzy-

czała najgłośniej jak tylko mogła. Pomoc nadeszła od strony rzeki. Wielkimi, ciężkimi krokami przybiegł barczysty, ciemny mężczyzna z siekierą w dłoni. Jednym rzutem oka ocenił całą sytuację. Ostrzem siekiery trafił wiązanie paska przymocowane do drzewa. Odina osunęła się ciężko na ziemię wysuwając się matce siłą bezwładności z objęć. Ta przypadła do niej i przyłożyła ucho do piersi. Leciutkie, zamierające bicie serca zdawało się nabierać mocy. Łzy popłynęły kobiecie po policzkach. Bezgłośnie zaczęła dziękować wszystkim nazwanym i nienazwanym siłom, że uchroniły jej córkę. Czy było to szczęście, czy zwykły przypadek było już nieważne. Odina oddychała. Żyła. I będzie żyć. Położyła głowę córki na swoich kolanach i delikatnie rozgarnęła jej włosy. Pokazała się delikatna, dziewczęca twarzyczka. Czarne brwi mocno odciwały się od całkowicie bladej reszty. Wyschnięte usta popękały. Na policzkach widać było smugi jakie zostawiły łzy. Kobieta pogłaskała jej twarz. Zaczęła cichutko nucić jakąś sobie tylko znaną pieśń bez słów. Zdjęła pasek z szyi dziewczyny. Dzięki swojej chropowatej powierzchni prawdopodobnie wybawił ją od śmierci. Nie zacisnął się do końca. Przyjrzała się reszcie cia-

ła córki. Dopiero teraz zauważyła, że sukienka oprócz tego, że była potargana, rozszarpana i brudna miała także dużą plamę krwi w okolicach nóg. Nie! - wyszeptała pobladyłymi ustami. Poczuła jak ramiona jej zwiotczały, osłabły, chociaż przecież były takie silne. Przytuliła córkę do siebie i zaczęła kołysać ją jak małe dziecko. – moja maleńka, moja kochana. - jej umysł pojął całą sytuację. Mężczyzna przyglądał się temu z oddalenia. Nie mógł się wtrącać. To była ich chwila.. Nie wiedział jak by zareagował, gdyby to spotkało jego córkę, też już nastoletnią, na wydaniu, niewinną. Zacisnął wargi. Wolał o tym nie myśleć. Nie wywoływać wilka z lasu. Tylko nie to. Widział uczucia, które wstrząsały teraz kobietą. Współczuł im obu. Usiadł na znajdującym się nieopodal dużym kamieniu i oparł siekierę o swoją nogę. Cekał. Mógł jeszcze pomóc. Był całkiem nowy w tej okolicy. Dopiero tu przybył z rodziną w poszukiwaniu pracy. Mieszkali teraz kątem w jakiejś stodole i mężczyzna budował dom na wskazanym mu przez pana terenie. Właśnie ścinał drzewa, które miały stanowić ściany jego mieszkania. Zaalarmowany krzykiem kobiety bez wahania przybiegł na pomoc. Cekał. Nieprzytomna dziewczyna z oporem

otworzyła oczy.

Mamo - wyszeptała i ponownie je zamknęła. Marianna najpierw zaniemówiła, po chwili krzyknęła i gorączkowo nasłuchiwała, czy ten delikatny oddech aby nie zamiera. Ale na szczęście był. Rzuciła obolałe spojrzenie w stronę siedzącego mężczyzny.

Pomóż mi zanieść ją do domu – poprosiła. Podeszedł i bez słowa wziął dziewczynę na ręce. Kobieta zaczęła iść nie puszczając jednak dłoni córki. -Jesteś tu nowy? Nie znam cię.

Nazywam się Biorg - powiedział mężczyzna - przybyłem kilka dni temu. Buduję teraz dom na końcu wsi. Pan dał mi kawał ziemi pod lasem. A ty... jesteś? - zawiesił pytanie w powietrzu. Mówią, że jestem wiedźmą. - zamilkła na chwilę - Zajmuję się ziołami. Matka dała mi na imię Marianna.

Bardzo ładne imię – przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Wiedźma w jego rodzinnych stronach była pokurczona i brzydka, a ta obok niego mogła uwieść jeszcze niejednego mężczyznę. Na pewno była młodsza od tej z rodzimych stron. Jasnowłosa jak córka, o dużych jasnych oczach bardzo się różniła od kobiet, które tutaj dotąd widywał. Była smuklejsza i bardziej gibka. – ty... też nie jesteś stąd? - zaryzykował pytanie.

Pokręciła głową, ale nie chciała więcej mówić na ten temat. Doprowadziła go do domu, stojącego na niewielkiej polanie. Na jej skraju bieliła się brzoza. Wysoka, wybujała nawet jak na leśne warunki kładła się cieniem na stojącym przed domem długim stole i ławie. Zahaczała także o sama chałtę. Był to mocny i solidnie zbudowany dom. Na pewno zapewniał domownikom spokojne noce. Belki łączyły się ze sobą jak splecione palce. Małe okna, nie przysłonięte teraz zwierzęcymi skórami prawdopodobnie wpuszczają do środka potrzebną ilość światła. Przed domem radośnie czekał duży pies. Merdał ogonem witając powrót domowników. Z podejrzliwością łapał w nozdrza zapach Biorga. Węszył koło niego niespokojnie. Pomimo to mężczyzna spokojnie szedł za Marianną niosąc Odinę na rękach.

Twój mąż go zbudował? - zapytał po chwili wskazując broda na budynek. Nie mam męża - odparła w odpowiedzi. Otworzyła drzwi, skrzypnęły ciężko i zamarły w miejscu, do którego je odsunęła. Popchnęła je dalej, aby uczynić wystarczająco dużo miejsca dla niego i dziewczyny. Biorga uderzył w nozdrza zapach ziół, wosku i miodu. Zanim przyzwyczaił oczy do panującego tu mimo wszystko półmroku minęła chwila. Marianna doskonale znająca rozmieszczenie sprzętów w izbie przeszła dalej. Wreszcie mógł się rozejrzeć po otoczeniu. Suche kępi różnych roślin zwisały z belek, pod-

trzymujących konstrukcję dachu. Na palenisku stał gliniany, polewany garnek. Kobieta wskazała mu postanie. Podeszedł do niego i delikatnie ułożył dziewczynę. Osunęła się jak puszczone luzem materiały.

Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował mojej pomocy, zawsze ci pomogę.

zapewniła go, równocześnie wskazując mu wyjście. Zrozumiał. Zrobił już to co mógł, i na co mu pozwolono. – Niech to wszystko zostanie między nami – poprosiła – dziękuję - dosłyszał gdy zamykał drzwi za sobą. Chciał się cofnąć, aby jeszcze o coś zapytać, ale... rozmyślił się. Poprzez drzewa zobaczył skraj wsi.

K.B-C.



Foto: Rafał Dąbrowski Model:Katarzyna



Koran jest twój,
Biblia jest twoja,
Tak samo Talmud,
Wedy i Tao Te King
- wszystko jest twoje.
Przyswajaj wszystko,
a im więcej przyswoisz,
tym wyższy będzie
szczyt, na którym
będziesz mógł
stać i patrzeć
daleko - na odległe
kraje i krajobrazy.

OSHO





Początek...

Jan Niezgoda

Wielki Wybuch, początek Wszechświata – teoria potwierdzona przez pierwszego sztucznego satelitę do badań kosmologicznych (COBE wystrzelony przez NASA 18 listopada 1989 roku), to ok. 15 miliardów lat temu.

Znacznie młodszy jest nasz Układ Słoneczny, którego początki w jednym z jąder obłoków molekularnych szacowane są na ok. 4,6 miliarda lat temu.

W nowo powstałym bycie Słonecznej Gwiazdy znajdujemy jedną z wirujących planet – Ziemię.

Ziemia w swym wczesnym stadium ok. 4,5 miliarda lat temu, nieustannie bombardowana przez inne planetoidy, była ciałem płynnym. Cięższe substancje przemieszczały się do jej środka tworząc jądro, lżejsze zaś pozostawały na powierzchni budując poszczególne warstwy skorupy. Najprawdopodobniej atmosfera wczesnej Ziemi powstała z mgławicy słonecznej i składała się głównie z wodoru i helu.

Stopniowe schładzanie skorupy, jej ciągły przyrost oraz uderzające w nią meteoroidy spowodowały powstanie na jej powierzchni wody wydalanej następnie do atmosfery. Nieustanne erupcje wulkanów wprowadziły do tak tworzonej atmosfery również inne gazy, powstały chmury powodujące opady i tak w ciągu ok. 700 milionów lat (ok. 3,8 miliarda lat temu) powstały na jej powierzchni oceany.

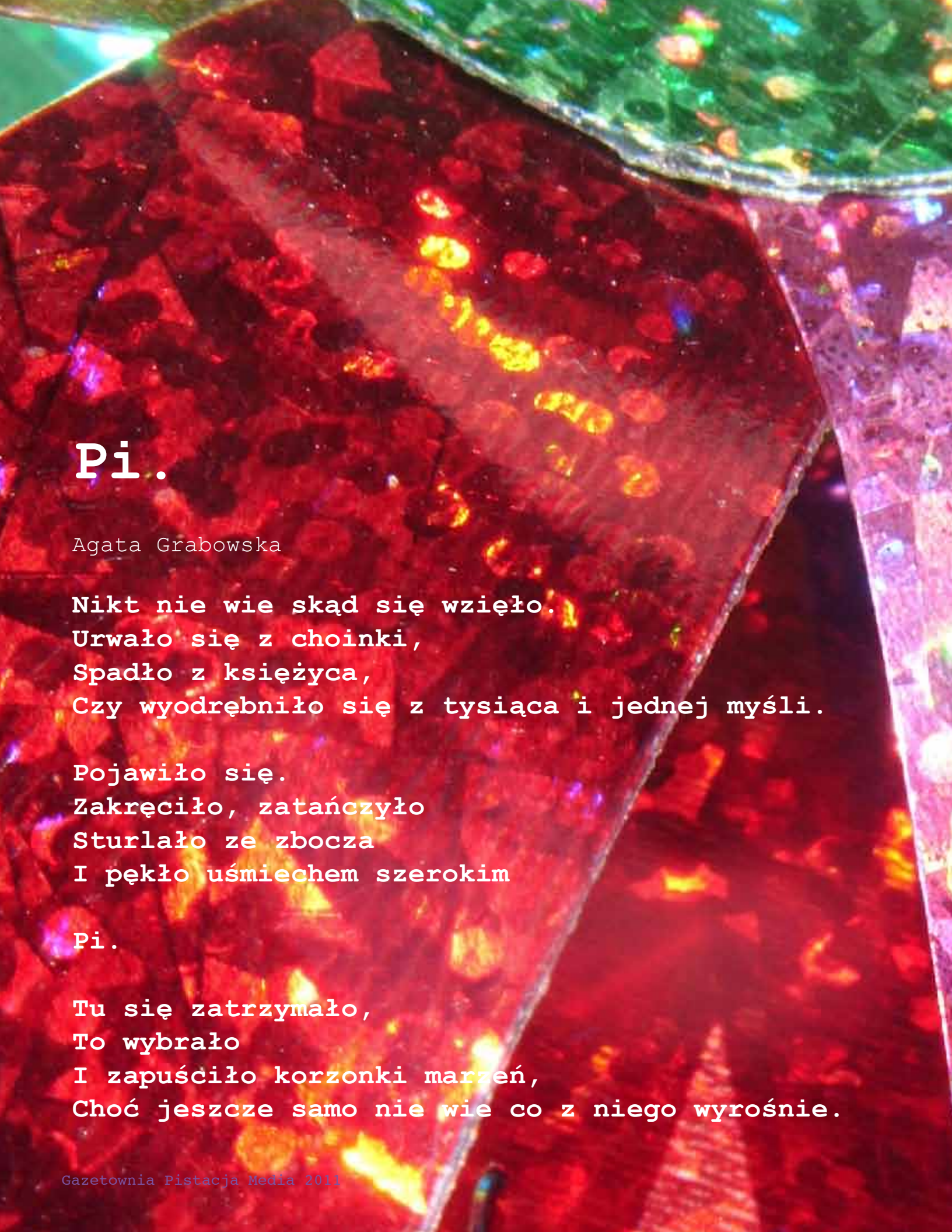
Wydaje się, że stąd już jedynie mały kroczek do powstania życia. Jednak, mimo wielu zbieżności w różnych teoriach na temat powstawania tego unikalnego procesu, tak naprawdę do końca nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy był on zapoczątkowany samoistnie, czy też za sprawą innych, nieznanych nam czynników pochodzących spoza tak formowanego Ziemskiego Świata.

Dziś możemy jedynie potwierdzić, analizując skład izotopowy węgla w najstarszej warstwie skorupy ziemskiej, że już 3,7 miliarda lat temu istniały zalążki życia. Dalej jednak pozostaje otwarte pytanie, jak do niego doszło? Samoistnie, jak twierdzą niektórzy naukowcy, czy może jak zdaniem noblisty Francisa Cricka, życie jest wszechobecne w kosmosie, a jakaś obca cywilizacja doprowadziła jedynie do jego zaszczepienia bądź

zasiania na naszej planecie? Zupełnie podobną teorię głosi Erich Von Däniken. Jego zdaniem zostaliśmy „stworzeni” w celach badawczych przez obcych i pozostajemy pod ich ciągłą obserwacją. Według Carla Sagana natomiast, pierwsze żywe organizmy pojawiły się samoistnie 4 miliardy lat temu w stawach i oceanach. Ciągłe wyładowania i promienie UV rozbijając proste i bogate w wodór cząstki pierwotnej atmosfery doprowadziły do tworzenia coraz bardziej złożonych molekuł, które rozpuszczając się w wodzie doprowadziły stopniowo do powstania cząstek o bardziej złożonej strukturze zdolnych do tworzenia własnych kopii, a to już początek DNA (kwasu dezoksyrybonukleinowego) niezbywalnego budulca każdego życia.

Pomimo wielu takich, jak przytoczone wyżej teorii, a pamiętać musimy jeszcze o wielu innych dawno już obalonych, tak do końca nie jesteśmy w stanie stwierdzić jednoznacznie, jakie faktycznie były początki życia na tak mikroskopijnej w skali Wszechświata planecie, jak nasza zielona Ziemia. Niewykluczone, że i te dziś najbardziej prawdopodobne teorie już jutro mogą być podważone, wszak Wszechświat w którym żyjemy jest nieogarnięty.

J.N.



Pi.

Agata Grabowska

Nikt nie wie skąd się wzięło.
Urwało się z choinki,
Spadło z księżyca,
Czy wyodrębniło się z tysiąca i jednej myśli.

Pojawiło się.
Zakręciło, zatańczyło
Sturlało ze zbocza
I pękło uśmiechem szerokim

Pi.

Tu się zatrzymało,
To wybrało
I zapuściło korzonki marzeń,
Choć jeszcze samo nie wie co z niego wyrośnie.



